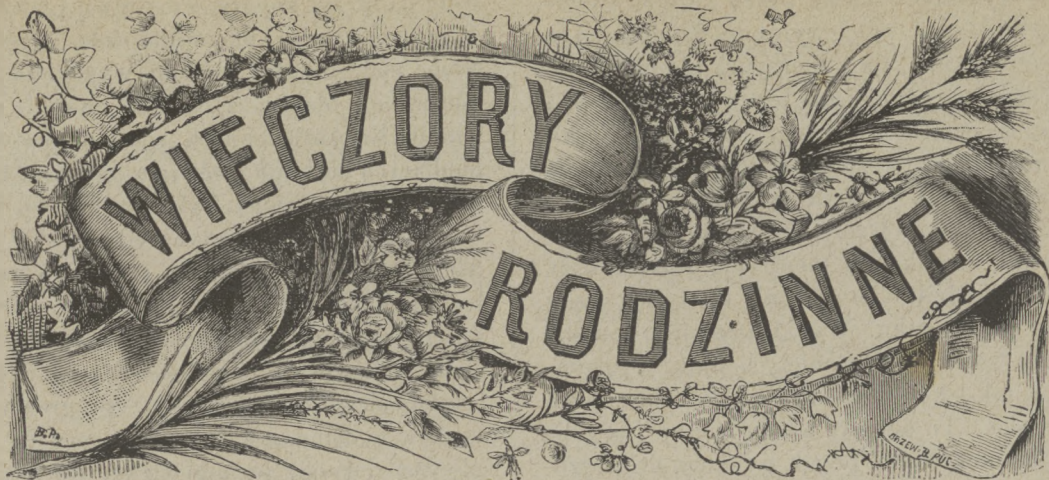




**CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.**

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

KILKA OBRAZÓW Z PODRÓŻY PO EGIPCIE.

(Dalszy ciąg).

**Meczet sułtana Hassa-
na w Kairze.**

Przypatrzywszy się dowoli życiu ulicznemu i bazarom Kairu, zapragnęliśmy poznać szczegółowo ciekawości tego miasta, zaczynając od jego świątyń t. j. meczetów. Zaprowadzono nas do meczetu sułtana Hassana, wzniesionego r. 1354 po Chrystusie, a mającego być doskonałym okazem budownictwa saraceńskiego.

Wysiadłszy z powozu, weszliśmy na wschody, przeszliśmy wzniosłą salę, jeszcze kilka wschodów i dłu-



Dziewczyna egipska.

gi ciemny kurytarz i znalazłszy się w wielkim dziedzińcu; przedtem jednak przez uszanowanie dla świętego miejsca musiałyśmy zdjąć zwykłe obuwie, a włożyć przywiezione w tym celu pantofle. Dziedziniec ten łączy piękność z niezwykłością. Proszę sobie wyobrazić olbrzymi kwadrat, wyłożony marmurem, otwarty u szczytu, a otoczony lekkimi murami; w każdym z nich jest obszerne zagłębienie, zamknięte jednym łukiem; kwadrat ten zajmuje więcej niż sto stóp kw. powierzchni, a mury mają przeszło

100 wysokości. Każde z tych zagłębień tworzy obszerną salę, wyłożoną kobiercami, a przeznaczoną na spoczynek i modlitwę. Wschodnie zagłębienie jest o wiele dłuższe i szersze od trzech innych; podłoga tej głównej sali, mającej 90 stóp długości, jest nieco wzniesiona i zawiera mównicę dla kaznodziei. Zauważyliśmy, że Muzułmanie przybywali tu tylko dla modlitwy; skończywszy ją, odchodzili albo udawali się do innej sali dla wypoczynku. Wśród dziedzińca jest śliczny wodotrysk, osłonięty kopułą, wyglądającą tak lekko i powiewnie, jak koronkowa tkanka. Tu odbywa każdy wierny swe religijne obmywania przed wejściem do meczetu, poczem zdejmując obuwie i bosą już nogą depcze kobierce na wywyższeniu.

Po raz pierwszy widzieliśmy wtedy modlących się Muzułmanów i nie mogliśmy bez wzruszenia patrzeć na ich głęboką i szczerą pobożność. Niektórzy leżeli, dotykając czołem ziemi, inni klęczeli, inni wreszcie stali pochyleni w postawie modlącym się przepisaną, zwróceniu ku wschodowi, z rękami skrzyżowanymi na piersiach; byli oni tak pogrążeni w modlitwie, że nawet nasza obecność nie zdołała sprawić im roztargnienia. Niewiedzieliśmy wtedy, że Muzułmanin jest zarówno pobożnym poza meczetem, jak w jego obrębie, i że ma zwyczaj modlić się o pewnych stałych godzinach, gdziekolwiek się znajduje i cokolwiek robi. Wkrótce tak oswoiliśmy się z tym wybitnym rysem muzułmańskiego życia, że nie dziwiło nas wcale, gdy przewodnik karawany zsiadał i czoło pochylał w prochu przydrożnym; gdy kupiec rozścielał swój dywanik na wązkiej mastabach swego małego sklepu, wśród ludnego bazaru, albo gdy wioślarz padał na twarz, zwrócony ku wschodowi, w miarę jak słońce za pagórkami znikało.

Na dziedzińcu meczetu panowała zupełna cisza; drobna brunatno-złotawa ptaszyna siedła właśnie z pocziwą ufnością u brzegu zbiornika, napiła się wody, wykapała, wymuskała swe piórka, jakby wierzyła w skuteczność muzułmańskich ablucyj ¹⁾ a ulecia-

wszy na szczyt kopuły, wdzięcznie śpiewała. Wszędzie zresztą panowała cisza zupełna. Niebo nad głowami naszymi wyglądało jak nieruchoma błękitu szyba, a tu i owdzie pewna liczba oturbanionych postaci, opartych, modlących się, lub spokojnie zajętych, malowniczo rozproszoną była po okrytej kobiercami podłodze sal przyległych. Tu siedzi krawiec z założonemi nogami i szyje kaftan, obok niego leży na twarzy, wyciągnięty jak długi, koszykarz, rzuciwszy poza siebie na wpół upleciony koszyk i pęk trzciny, a tuż obok głównego wejścia śpi grono żebraków w lachmanach. Dziwiło nas to; bo nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że meczet jest dla mahometanina zarówno miejscem schronienia i spoczynku, jak domem modlitwy.

(d. c. n.)

A. Dzieduszycka.

NA LETNIEM MIESZKANIU.

OPOWIEDZIAŁ

Władysław Nowicki.

(Ciąg dalszy).

— Teraz na ciebie kolój—rzekła mama do Zosi—zapewne pamiętasz, jak poeta opisuje:

Puszczę litewską.

W około mnie srebrzył się tu mech siwo-bródny,
Zlany granatem czarną, zgniecioną jagody,

A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciorki,

W około była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury;

¹⁾ Mahomet żąda od swych wyznawców pięć razy na dzień powtarzanych unywań czyli ablucyj

a Muzułmanin, modląc się, powinien się zwracać ku Mece, miastu w Arabii, w którym Mahomet znaczną część życia przepędził i gdzie najslawniejsza świątynia muzułmańska się wznosi.

Wicher kędyś nad sklepem szalał nieru-
chomym

Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gro-
mem:

Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole, jak ruiny miast: tu wywrot dębu,
Wystercza z ziemi, nakształt ogromnego
zrębu,

Na nim oparte, jak ściana i kolumn obła-
my,

Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tra-
my,

Ogrodzone parkanem traw. W środek ta-
rasu

Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze
lasu,

Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą
kości

Na pół zgryzione jakichś nieostrożnych
gości,

Czasem wymkną się w górę, przez trawy
zielenie,

Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym
pasem,

Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie mię-
dzy lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciot na jedli-
nie

Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,
Schował się: ale dziobem nie przestaje pu-
kać,

Jak dziecko, gdy schowane, woła, by go
szukać.

Blżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach
trzymając,

Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera:
Chociaż tak osłonią, dokoła spoziera,
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanc-
cznica

Z drzew na drzewa, miga się jako błyska-
wica;

Nakoniec w niewidzialny otwór pnia prze-
pada.

— Mały ten laszek—mówił ojciec—nie mo-
że iść w porównanie z wielkim lasem, z pu-

szcą; a wszystko to niczem w porównaniu
z lasami, z roślinnością krajów gorących.
Podróżni i uczeni opowiadają dziwy o niebo-
tycznych drzewach, o bujnej roślinności kra-
jów zwrotnikowych, a zwłaszcza o dziewi-
czych lasach Ameryki. Przypominasz sobie
(tu zwrócił się do Zosi) jak uczyłaś się na
pamięć o puszczech zwrotnikowych.

— Tak, proszę taty; jak ślicznie opisał je
Kremer, mnie się śniły parę razy takie pu-
szcze, jakżebym pragnęła choć raz w życiu
zobaczyć co podobnego.

— Roślinność w krajach zwrotnikowych
jest bez porównania okazalsza niż u nas—
ciągnął dalej ojciec—patrzcie na te karłowate
paprocie. Paprocie w krajach zwrotniko-
wych są ogromnymi drzewami, niemniej
wielkie są palmy, akacje i eukaliptusy. Dłu-
go trzeba by wam opowiadać o różnych po-
żytkach z drzew w krajach gorących, nad-
mienię tylko, że kauczuk, z którego są róż-
ne wyroby, a zwłaszcza kalosze gumowe,
pochodzi z soków roślinnych.

Rozmowa ta byłaby się długo jeszcze prze-
ciągnęła, gdyż dzieci z uwagą słuchały i za-
dawały coraz to nowe pytania; ale mama
powstała, dając hasło do powrotu. Już z da-
leka polanka przedstawiała się dzieciom in-
ną, niż ją zostawiły. Na zielonej murawie
rozpościerał się bieluchny obrus, obok dy-
mił samowar, a Kulawina i Marysia krząta-
ły się około podwieczorku.

Nie potrzebujemy zapewniać, że smako-
wał on dzieciom bardzo, a szczególniejsz smako-
wały im jagody, co ich same nazbierały,
a do których Kulawina dodała mleka z bu-
telki.

Podwieczorek się skończył, kobieta zaczę-
ła sprzątać i pakować naczynia; ojciec roz-
kazał woźnicy jechać prosto drogą i zatrzy-
mać się na skraju lasu. Sam zaś z rodziną
poszedł piechotą przez las.

Szli rządem w pewnym oddaleniu od sie-
bie, szukając grzybów.

— Patrz, Adysiu—mówiły dziewczynki—
tak wygląda obława, ale ta nasza obława nie
jest na grubego zwierza, tylko na grzyby.

Dzieci co chwila wydawały radosne okrzy-
ki na widok spotykanych grzybów; ze smu-
tkiem jednak musiały je rzucić, gdyż były

to po największej części muchomory czerwone z białymi centkami, opieńki, lub inne bedłki trujące. Pocieszyły się, gdy przybiegły na głos rodziców i odszukały we wskazaném miejscu borowika, który nieznacznie stał pod krzakiem, znalazł się potem niedaleko i drugi mniejszy od niego. Dalsze poszukiwania były bezskuteczne, grzybów prawdziwych już nie znaleziono. Dziewczynki szukały koniecznie rydów; dokazały swego, znalazłszy małego rydza w murawie na przydrożku; kapelusz jego miał na sobie sine, współśrodkowe kółka, z odciętego trzonka (ogonka) sączył się sok czerwony. Rydze są koloru ceglatego. Znalazły więcej podobnych bedłek, ale musiały je rzucić; rodzice pokazali, że są one bledsze od rydza, i że mają na sobie, a zwłaszcza na brzegu kapelusza, puch biały podobny do wełny—były to trujące bedłki wełnianki.

Gdy już doszli do skraju lasu i stanęli przy bryczce, dzieci chwaliły się, pokazując, co które nazbierało; znalazły się tam maślaki (kozlaki) brunatne, surojadki różowe, pieprzniki żółte (kurki), gołąbki siwe, gąski żółte, krówki, z których trzonków sączył się sok biały jak mleko. Są to wszystko poślednie gatunki grzybów małej wartości. Grzybobranie więc nie bardzo się udało. Natomiast Marysia przyniosła parę pieczarek, są one białe z wierzchu, a popielate z pod spodu; pieczarki stanowią wyborną przyprawę do sosów. Po drodze pokazywały sobie dzieci białe purchawki, co rosły na murawie; bawiły się one już nieraz przydeptywaniem starych purchawek, z których sypał się popiół żółtawy. Zauważono także drobne bedłki, stojące w gromadkach, nazywają się one tanecznicze, dla tego, że wyglądają, jakby się za ręce do tańca trzymały.

Nazajutrz mama obudziła dzieci o świcie. Ciężko im było podnieść się; czuły ciężenie głowy i coś jakby piasek w oczach, czuły dreszcze. Myśl o odjeździe ojca przewyciężyła to wszystko, wyszły na ganek. Chłodno było i pośepnie; napróżno oczy podnosiły się w górę, szukając słońca i jego promieni. Śpiew skowronków rozbrzmiewał w powie-

trzu, budząc do życia naturę mglistą, zasną. Bryczka jeszcze nie zaszła.

— Odprowadzimy ojca—wołały dzieci.

— Pójdźcie—odrzekł—bryczka nas dogoni, zobaczycie wschód słońca; będzie zaraz, już świta. Widzicie te czerwone smugi światła od wschodu? To zorza. Ztąd nie zobaczymy słońca, bo wieś zasłania horyzont, ale tam dalej trochę można będzie widzieć wybornie; pogoda piękna, najmniejszej chmurki nie widać na niebie.

Szli za ojcem w milczeniu; ziemia i rośliny zroszone, mgła unosząca się tu i owdzie nad ziemią, szare niebo, kąpiące się w rumianej zorzy, aromatyczne, orzeźwiające powietrze, najmniejszym nie poruszone wietrzykiem—wszystko to sprawiało nowe, nieznanе dotąd wrażenie. Dzieci czuły, że to chwila uroczysta, w której stanie się coś ważnego.

I purpurowy brzeg słońca wyłonił się na widnokręgu; złote promienie światła wystrzeliły. I drgnęły serca dzieci, spojrzwały w słońce i spuściły oczy przed jego pięknoscią. Morze złota płynęło od wschodu, zalewając niebo, powietrze, ziemię, rośliny, domy; rosa zabłysła, jak dyamenty. Mgła, cień, światło, blask, łamiąc się i krzyżując w odcienie i kolory, ogarniały wszystko, stroiły wszystko w szatę uroczystą, jasną, przetykaną złotem.

Tam w dali Chrystus wyciągnął z krzyża ramiona ku wschodowi i zachodowi, głowę pochylił pod koronę cierniową, kroplami rosy płaczącą; u stóp legła ziemia, w jej prochu pokłękli ludzie. Ten co dźwignął winy całego świata stoi w promieniach tęczy, słońce całuje jego podnózek. Z słabych piersi ludzkich wydobywa się:

Pieśń poranna.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki:
Bądź pochwalon, Boże wielki!

A człowiek, który bez miary
Obsypany Twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemużby Cię nie chwalił?

Ledwie oczy przetrzczyć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie
I szukam Go koło siebie.

Wielu snem śmierci popadli,
Co się wczoraj spać pokładli;
My się jeszcze obudzili,
Byśmy Cię, Boże! chwalili.

Dnia następnego była niedziela. Tłumy wiesniaków w jaskrawych świątecznych szatach podążało do świątyni w wiosce sąsiedniej. Gdy rozległ się głos dzwonu, wzywający na modlitwę, matka z dziećmi dojeżdżała już do kościoła. Tutaj znalazły one ulgę po odjeździe ojca: modliły się z większym skupieniem ducha niż w Warszawie. Ta prostota w budowie domu modlitwy i jej przyozdobieniu, ta szczerza pobożność kłęzących prostaczków, ten nieustanny szepot modlitwy i wzdychanie, ten uroczysty śpiew kapłana przed ołtarzem wśród dymu i woni kadzidła, te organy huczące—wszystko to przejmujące głęboko każdego chrześcianina, każe mu zapomnieć na chwilę o życiu codziennem, unosi myśl jego w sfery wyższe. W wiejskim kościółku dusza rwie się do modlitwy.

(d. c. n.)

Rośliny pokojowe.

KAKTUSY.

Nie ma dla młodych pańienek przyjemniejszego zajęcia, jak pielęgnowanie roślin. Na wsi każda z nich zwykle w ogrodzie rodziców ma swój osobny mały ogródek, w którym sama, własną ręką kwiatki przesadza, polewa, grządki i ścieżeczki utrzymuje w porządku. Ale w mieście, a nawet i na wsi w zimowych miesiącach, można zamiast ogródka chować w doniczkach różne piękne zamorskie rośliny. Pańienki miejskie lepiej czasem znają tych obcych przybyszów od swojskich, dzikich kwiateczków, ale zazwyczaj znają je tylko powierzchownie, nie wiele wiedzą o ich ojczyźnie, ani o tém, jak wy-

glądają i do czego służą tam, gdzie rosną dziko i swobodnie, tak jak je Pan Bóg stworzył.

Któż nie zna kaktusów? rośliny te powszechnie są lubione, bo pięknie kwitną, łatwo się rozmnażają i niezbyt wielkich wymagają starań. Dosyć jest uciąć niewielką gałązkę i wsadzić ją w ziemię, żeby mieć nowy krzaczek kaktusu, a co się tyczy pielęgnowania, głównie trzeba pamiętać, żeby ich nie poléwać częściej, jak raz na parę miesięcy w dni gorące, po zachodzie słońca i dawać im jak najwięcej światła. Zimą trzymać je trzeba w ogrzonym pokoju, w dobrém świetle i mniej jeszcze polewać niż latem; ziemię dawać lekką, ze znaczną ilością piasku, a wszystko to dla tego, żeby im tu na obczyźnie o ile możności rodzinne strony przypominać.

Kaktusy pochodzą z Ameryki środkowej; najobficiej i najwspaniałej wyrastają w Teksas, Meksyku i Kalifornii, w okolicach pustych, pozbawionych lasów, gdzie niezmiernie mało jest wilgoci, bo deszcz rzadko odwilża skaliste i piaszczyste grunta, a brakuje drzew cienistych, któreby skwar słoneczny łagodziły. Ale dziwne te rośliny doskonale sobie dają rady w takim klimacie, bo w grubych, mięsistych tkankach, gromadzą ogromne zapasy wilgoci, więc choćby deszcz tylko parę razy do roku padał, one zawsze tyle sobie przechowują wody w swoich komóreczkach, że im potem starczy na najdłuższą posuchę. Pewien naturalista nazywa kaktusy wielbłędami państwa roślinnego; wiecie zapewne, młodzi czytelnicy, że to zwierzę pustyni umie się także w podobny sposób zabezpieczyć i pijąc wodę, zawsze spory zapas zostawia w fałdach torby żółdkowej, a potem podróżując z karawaną, może się przez czas dłuższy obejść bez świeżego napoju. Kaktusy wciągają w siebie wilgoć, tak jak wszystkie inne rośliny, ale ją lepiej przechowują, bo zielone ich łodygi, które my zwykle niewłaściwie nazywamy liśćmi, prawie zupełnie są pozbawione drobniotkich otworków, przez które ta wilgoć w innych roślinach obficie się ulatnia.

Kraina kaktusów w Ameryce środkowej wygląda bardzo osobliwie, bo nie wyobra-

żajcie sobie, że one tam w swojej ojczyźnie mają takie niepokazne rozmiary jak te, które wy hodujecie w doniczkach i trzymacie na oknach w pokoju. Otąg olbrzymi, w języku botanicznym, *Cereus giganteus*, wyrastający na stepach Meksykańskich, w kształcie ogromnego kandelabra, dochodzi czasem 60-ciu stóp wysokości. Za młodu wygląda zazwyczaj jak potężna maczuga, grubsza u góry, potem się wyrównywa i wznosi nakształt słupa; wreszcie wypuszcza gałęzie poboczne, które także rosną prosto w górę, równolegle z pniem głównym, a wszystkie te gałęzie są kańciaste, brózdami poznaczone i najeżone ostrym cierniem; z brózd wyrastają kwiaty o świetnych, jaskrawych barwach, które wydają owoce jadalne, z postaci i smaku dość podobne do fig. Wyście może nigdy o tém nie słyszeli, że owoc kaktusów jeść można. Nietylko otąg olbrzymi, ale i inne gatunki dostarczają smacznych jagód, których my tu nie znamy. W Europie południowej i zachodniej Azji, szczególnie w okolicach morza Śródziemnego, rośnie prawie dziko opuncya, zwana pospolicie figą indyjską, *Opuntia ficus indica*, także pierwotnie z Meksyku pochodząca. Wy nazwalibyście liśćmi jej łodygi, złożone z grubych brył spleaszczonych, jak rakiety, które jedne z drugich wyrastają i okryte są kępkami cierni. We Włoszech, w Palestynie, obsadzają taką opuncyą zagrody, tak jak u nas tarniną, a gdy krzaki cierniste się rozrosną, dochodzą 30-tu stóp wysokości i tworzą potężną gęstwinę, tak mocną i niedostępną, jak mur kamienny; zdarzało się, że kula armatnia grzęzła wśród téj zapory, której nie mogła przebić. Opuncya ta nie darmo figą indyjską się nazywa; wydaje bowiem smaczne owoce podobne do fig, które zbierają zazwyczaj przystawiając do krzaków wysokie drabiny. Jakże pięknie wyglądać musi ta masa zieloności, gdy się pokryje mnóstwem kwiatów żółtych, jaskrawych, pełnych i pięknych, jak wszystkie kwiaty kaktusów, którym chyba to jedno zarzucić można, że są bardzo nietrwale i prędko opadają. Znać może wspaniały kaktus, u nas w cieplarniach hodowany, który ogrodnicy nazywają królową nocy, a botanicy otągiem wielkokwiatnym, *Cereus*

grandiflorus. Wieczorem, około ósmej godziny, otwiera się pąk ogromny, nagle rozwijają się liczne płatki białe z różowemi brzegami, tworząc kwiat prawdziwie olbrzymich rozmiarów, gdyż okrąg jego ma czasem całą stopę obwodu; pośrodku powiewa okazała kita pręcików niezliczonych i woń wanilii rozchodzi się dokoła. Jaka szkoda, że cały ten przepych trwa tak niedługo; już około północy świetny kwiat więdnąć zaczyna, a nazajutrz zwykle opada.

Botanicy rozróżniają różne rodzaje kaktusów. Jazgrze, *Echinocactus*, odznaczają się kształtem kulistym, całe są okryte brózdami i ciernistemi żeberkami. Podobnie jak wszystkie kaktusy, mają świetne i ozdobne kwiaty, które wychodzą wprost, bez żadnej szypułki z pośród wiązek cierni. W ojczyźnie swojej jazgrze dorastają ogromnych rozmiarów i wyglądają czasem, jak pękate potężne beczki, cierniem najeżone i cudnemi kwiatami okryte. Jeżomelony, *Melocactus*, także są okrągłe, jak dynie, ale u wierzchołka mają walcowatą narośl, z której wychodzą kwiaty. Całe są wypełnione wodnistym, orzeźwiającym sokiem, który w spiekłych stepach służy za napój ludziom i zwierzętom. Podróżni widzieli nieraz, jak spragnione muły rozbijały kopytami ciernistą skorupę i chciwie pochłaniały wyciekający z niej sok.

Dyniokłęby, *Mamillaria*, inaczej znów wyglądają; złożone są z okrągławych gałek, zrosniętych z sobą, nakształt ogromnego ananasa. Wspomnieliśmy już wyżej o otągach, *Cereus*, których łodygi są bardziej jednostajne, walcowate, kańciaste i o opuncyach, złożonych z brył spleaszczonych. Powiemy jeszcze słówko o innym gatunku opuncyi, na której żyje drobny owadek, zwany koszenilą, dostarczający pięknej purpurowej barwy. Opuncya koszenilowa także przeniesioną została z Ameryki do Europy południowej i Azji, i dziś tak bujnie tu wyrasta, jak w własnej swjej ojczyźnie.

Wyobraźciez sobie, jaki szczególny widok przedstawiać muszą te stepy meksykańskie, gdzie prawie żadnych innych roślin ani drzew nie widać, tylko kaktusy, olbrzymich, dziwnych kształtów, a wszystko to niepojętym

sposobem żyje wśród najdzikszych skał, zapuszczając korzenie w szczeliny głazów, tuląc się do nagich ścian kamiennych. Tam sterczą słupy wysokie, wypuszczając po bokach potężne ramiona, tu znów przewala się ogromna beczka, a wszędzie, gdzie okiem zajrzeć, dziwnie odbijają od białych odłamów skał te wielkie, niekształtne bryły zielone. Gdziekolwiek obok kaktusów rosną także Agawy, cierniste i sztywne, i Yukka, czyli szpilecznica, przezwana bagnetowem drzewem, bo ma liście twarde, jak żelazo. Wśród tego osobliwego krajobrazu nie słychać wesołego świątowania ptasząt, tylko jednostajne brzęczenie owadów, bo ptaszęta uciekają od tych gałęzi najeżonych kolcami, na których spocząć nie mogą, ale owady obfitą słodycz czerpią z okazałych kwiatów kaktusowych. Niewiele jest na ziemi okolic, odznaczających się tak odrębną i szerególną roślinnością, jak amerykańska strefa kaktusów.

W naszych cieplarniach kaktusy nigdy się tak rozkosznie nie rozrastają, jak w ojczyźnie swojej, ale kwitną równie pięknie, a przy starannem hodowaniu wydają nawet smaczne owoce. Przed laty kilkunastu księżę W., który posiadał znaczne dobra nad Dniestrem, w okolicach Mohilewa, miał tam wspaniałą cieplarnię, gdzie nagromadził mnóstwo samych kaktusów. Było to wyborne naśladowanie prawdziwego krajobrazu meksykańskiego, tylko naturalnie w malutkich rozmiarach. Ziemia usypana była piaskiem i kamyczkami, gdziekolwiek mchem pokryta, wokoło sterczały większe odłamy głazów, porozkładane niby bezładnie, które jednak bardzo sztucznie wyobrażały skaliste stępy amerykańskie, tak, jak je widzimy na rysunkach. W szczelinach, pomiędzy głazami, poukrywane były doniczki, a dziwaczne postacie kaktusów wyglądały tak zupełnie, jak gdyby tam dziko wyrosły. Pękate beczki, słupy okazałe, bezkształtne bryły, piętrzące się jedne na drugich, wszystkiego tam było po troszę. Wyobraźcież sobie, co to za cudny był widok, gdy wśród cierni i kolców zajaśniało niezliczone mnóstwo kwiatów różowych, purpurowych, pomarańczowych, białych, woni roznosząc dokoła i wątle plate-

czki rozsypując po mechach i kamieniach.

Jeżeli która z młodzieńskich czytelniczek nie ma dotąd ani jednej doniczki z kaktusem, niechże sobie dostanie koniecznie parę sadzonek, po prostu odciętych nożykiem od łodygi, a gdy miejsce odcięte nieco zaschnie, niech je zasadzi w lekkiej ziemi, z dobrą domieszką piasku. Pielęgnując roślinkę, niech sobie przypomina to wszystko, cośmy tu opowiedzieli o jej ojczyźnie i sposobie życia, a wtenczas zapewne z większym zajęciem na nią patrzeć będzie i umiejętniej się z nią potrafi obchodzić.

M. J. Z.

PAMIĘTNIKI JASIA.

OGŁOSIŁ

Piotr Jaksa Bykowski.

(Dalszy ciąg).

Rozśmiał się łagodnie urzędnik i rzekł mi na to:

— Mów jaśniej, kawalerze, jakież to jest minister i co za gabinet?

— To należy do dziadzi Michała—mówiłem, brnąć dalej w naiwności.

— Któż to jest dziadzio Michał, proszę mi objaśnić?

— Jakto, pan niewiesz?—odparłem zdziwiony, a wyprostowawszy się z dumą, nabierając jak najwięcej powagi, wyraźnie wymówiłem, a raczej recytowałem po wojskowemu, jak mię niegdyś dziadzio nauczał:

— Michał Wołkowiński, kapral trzeciej brygady, siódmej kompanii szwoleżerów, kawaler krzyża wojskowego—dwa szewrony.

— Gdzież jest p. kapral?—spytał urzędnik.

— Już nie żyje.

— Jakież są dowody jego praw własności na to, co się tam mieści i kto jest jego sukcesorem?

— Ja nim jestem—odparłem śmiało.

— Dobrze jest, ale jakież na to prawne dowody?

— Dziadzio nieboszczyk zawsze mawiał: „Jasiu, gdy mnie już niestanie, weź tę moję lichą chudobę, ale z warunkiem, że ją przechowasz starannie, bo jakkolwiek mizerny to dobytek, lecz go oblałem krwią własną i potem pracy.“ — Opowiedziałem to rzewnie, zdało mi się, że dziadzio Michał ciągle w mej myśli i przed oczyma przytomny, uśmiechnął się łaskawie.

Nastąpiło milczenie, urzędnik widocznie się wahał, a w końcu rzekł:

— Czy bywali przy tém świadkowie?

Wystąpił O. Zacheusz, jako najczęstszy nasz gość, który nie raz mógł to słyszeć i zeznanie moje swoim świadectwem poparł. Zaczynał w najlepszej chęci zaszkodził mi najwięcej; jak teraz wnoszę, ucząc się prawa krajowego, ten dobry urzędnik także chciał uszanować pamiątki dziadzi i ów przybytek nietkniętym pozostawić; lecz po zeznaniu O. Zacheusza, rzekł widocznie z przymusem:

— Kiedy tak, a to właśnie przeciw waszemu mieniu akcja się toczy, więc proszę otworzyć te drzwi.

— Nie mam klucza! — odpowiedziałem dość hardo.

— Ja tu działam w imieniu prawa — rzekł urzędnik łagodnie, nie okazując niecierpliwości.

We mnie tymczasem, jakby przemówił dziadzio Michał, powtarzając nieraz cytowane przez się zdanie:

„Prawu krajowemu należy wszelkie poszanowanie i posłuszeństwo!“

A palcem owym wskazywał mi, abym drzwi otworzył. Wydostałem klucza i drżą-

cą ręką w zamek go włożyłem, a skoro drzwi się otwarły, zdawało mi się, że na progu stoi dziadzio i uśmiech nięty, z rezygnacją wskazuje na ten swój ukochany przybyteczek.

Urzędnik zaledwie z progu spojrzął wewnątrz, jakby się obawiał sprofanować tej naszej świątyni, a zwracając się do kilku kolegów wojskowych dziadzi, którzy dotąd bezczynni tam stali, rzekł:

— Są to rzeczy pamiątkowe, lecz nie wielkiej wartości, może panowie wojskowi zechcą to ocenić i nabyć.

Weterani ze czcią wszedłszy tam, parę słów z urzędnikiem za-

mienili, zapewne naznaczono cenę, której nie pamiętam, gdyż urzędnik głośno wymówił po trzykroć:

— Kto da więcej?

Pytanie zostało bez odpowiedzi i weterani, koledzy dziadzi, posiedli jego drogie pamiątki, lżej mi się zrobiło na sercu; zapytałem urzędnika, czyli mogę pozdęjmować na-



K a k t u s.

pisy przyklejone na ścianach, na co odebrałem upoważnienie.

Urzędnik, zakończywszy swą smutną czyn-

Gdyśmy sami pozostali przed onym gane-
czkiem, arcydziełem dziadzi, ukłękliśmy na
modlitwę. O. Zacheusz, który tu także jesz-



Ulica w Kairze.

ność, wszystkich niepotrzebnych widzów od-
dalił, zapewne aby nam zostawić swobodę
rozpatrzenia się w nowej doli bezdomnych.

cze pozostał nie postrzeżony przez nas, wi-
dząc to, przeżegnał nas krzyżem świętym,
a ukazując na Oko Opatrzności, powiedział:

— Jedno w tém szczęście człowieka na ziemi, że Ten sam odbiera, który i daje, a zawsze więcej ma, niż rozdał!

Te proste słowa pociechy wlały jeszcze większą otuchę w nasze serca i bez tego niebardzo zatrwożone.

Po skończonej modlitwie żadne z nas nie powiedziało dokąd idzie, nikt nie kierował i nie prowadził i już nie umiem powiedzieć, w jaki sposób znaleźliśmy się wszystko troje (bo i Grześ już do rodziny należał), u dwóch naszych drogich mogił i tego nie wiem, jak byśmy tam długo pozostali, gdyby nie nadziedł O. Zacheusz i nie wyrwał nas z zamyślenia:

— A przecie mówiłem wam, że czekam z obiadem, który już teraz wprowadzie w wicherzę się zamienił, chodźcie więc.

I poszliśmy za pocziwym księdzem; a stare psisko, Burek, ostatnia pamiątka z pod strzechy rodzinnej, za nami się powłókl. Matka, kładąc mi na czole znak krzyża św., rzekła:

— Synu, Bóg łaskaw, a świat szeroki!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

CZĘŚĆ DRUGA. NA BOŻYM ŚWIECIE.

I.

Pierwsze łyzy radosne.

„Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, niechli są ludzie!“ (a)

Byłbym niesprawiedliwym utrzymując, że ono gwałtowne wysadzenie z rodzinnego gniazda nie wywarło na nas smutnego wrażenia; w pierwszych tylko chwilach niemożliśmy się opamiętać i zdać sobie sprawy z tego, co się z nami działo, a później już, jak teraz pojmuję, oboje z biedną mateczką

(a) Ten dwuwiersz dopisany widocznie później, odmiennym pismem i innym atramentem.

(Przyp. wyd.)

wyprzedzaliśmy się jedno przed drugim, na udanie obojętności, ażeby w tej smutnej doli dodawać sobie odwagi.

Niepamiętam gdzie wyczytałem tę wielce sprawiedliwą maksymę: że przy każdym smutku, który Bóg nam zsyła, obok niego gotuje człowiekowi pociechę — owoż tej prawdy, na progu życia, przy tym pierwszym doznany zawodzie, doświadczyłem; skoro bowiem weszliśmy na probostwo, zacny O. Zacheusz, otwierając drzwi swej izby, wymówił te serdeczne wyrazy:

— Błogosławieni, którzy przychodzą w imię pańskie, wy zaś, jako prześladowani, w tém świętym imieniu tu przybywacie; ta więc uboga strzecha niech będzie waszą, a podzielimy się czém Bóg da.

Ledwie przestąpiliśmy ten próg gościnny, niespodziany a zachwycający widok olśnił mię: dość spora izba probostwa była urządzona naprędce na podobieństwo naszej utraconej; na ścianach, prawie w temże miejscu, wisiały nasze świętości i obrazy, obok leżały skromne rzeczy matki i moje, słowem wszystko, co w pierwszej chwili mogło nam być najpotrzebniejsze. Jeden róg izby był zajęty rzeczami i bronią dziadzi Michała, a wszystko nawet w tymże porządku poskładane, mniej więcej, jak było niegdyś w *gabiniecie ministra*.

Na ten widok oboje z matką zaleliśmy się gorącemi łzami — a łyzy to były, nie piekące żrzenie smutkiem i boleścią, ale łyzy szczęścia i wdzięczności — oby takimi tylko człowiek zawsze płakał na ziemi! Zapytany w myśli drogi cień dziadzi Michała, ukazał mi się także ze łzami i uśmiechem, jakby znać dawał, iż dozwala wypłakać mi się dowoli.

W izbie oczekiwał nas Lejba i stary wiarus Wawrzyniec; był to także veteran bez ręki, kolega wojskowy dziadzi i ojca, który u bogatszych mieszkańców tutejszej wioski pełnił funkcję leśniczego. Oni to razem z O. Zacheuszem i Lejbą — którego jak najniesłuszniej posądzałem o chciwość przy nabywaniu naszych rupieci — byli sprawcami dla nas tej prawdziwej pociechy i miłej niespodzianki. Łzami tylko mogliśmy oboje z matką wdzięczność im naszą okazać, a otoczeni prawdziwą przyjaźnią i spólcuciem, zapo-

nnieliśmy, że już nie było własnego dachu nad głową.

II.

W s w i a t.

Nie mam wiele do powiedzenia o gościnie naszej u O. Zacheusza. Zarabialiśmy na nasze utrzymanie: ja, jako już znający się na ogrodnictwie, pracowałem u bogatszych w ogrodach, matka szyła, przędła, a mieliśmy ztąd lubo niewiele, lecz tyle, aby nie stać się ciężarem O. Zacheuszowi, który sam był ubogim; nadto matka poobszyszała i naprawiała garderobę kościelną i ja, na co mię stać było, w kościele, na chwałę bożą, uporządkowałem.

Nie wiem, czyli to duch dobry dziadzi nie opuszczał mnie, bo jego ulubioną maksymę przeniosłem na ścianę nowój izdebki:

„Ten pan zdaniem mojem,
Co przestał na swoim.“

Ale tak jest, że na nowój siedzibie dobrze nam było i jakoś nie myśleliśmy z początku, aby ten byt na inny zamienić, chociaż sam rozsądek dyktował, iż tak zawsze trwać nie mogło; pracowaliśmy dni całe, dla wytechnienia i nabrania sił do dalszej pracy, udawaliśmy się na mogiły drogich zmarłych; jedyne to były pamiątki, jakie nam pozostały, albowiem w kilka dni po naszym wywłaszczeniu, wuj Grzegorz chatkę zburzył do szcztetu, drzewka nawet naszego sadu powycinał, a sam grunt zaorał—co miał w tém, Bóg to raczej wiedzieć... nie do mnie należy sądzić.

Wszakże nad naszym teraźniejszym spokojem nowa a smutna zmiana zawisła: O. Zacheusza władza klasztorna do innych zajęć powoływała, inny ksiądz miał przybyć, niepodobna było dłużej na probostwie pozostać.

Trzeba było myśleć coś o sobie: nie mieliśmy chaty, zimą zarobek był trudniejszy, wiele nam zatem nie starczyło jeszcze do takiego takiego, choćby najskromniejszego życia. Matka zmuszona była szukać stalszego zajęcia—Lejbka, nasz prawdziwy przyjaciel, a mający rozliczne stosunki, wyszukał dla

matki obowiązek ochmistrzyni, czyli po prostu klucznicy u bogatych państwa K. z tamtej strony Winnicy i wręczył matce małą kwotkę, przyslaną nam od nowych państwa na kosztą podróży. Widocznie Bóg miłosierny czuwał nad nami, bowiem kochana matczka, pomimo ciężkich trosk przebytych i wątłego zdrowia, sił nabierała i nie nużyła się pracą, tak jak dawniej—być może, iż w tém zacném sercu poczucie obowiązku tę moc nadzwyczajną sprowadzało.

Pamiętam jak dziś, był to trzeci dzień Zielonych Świątek, naznaczony na rozstanie z naszą ukochaną rodzinną ziemią, która jakby ku zwiększeniu smutku pożegnania, przyodziła się całym przepychem wiosennej szaty. Równy ze dniem udaliśmy się na drogę groby, gdzie długo przetrwaliśmy na modlitwie i rozmyślanii, matka urwała po małym kwiatku z każdej mogiły, zaszyła sobie i mnie w torebkę ze świętymi obrazkami, które nosiliśmy na piersiach.

O. Zacheusz na naszą intencją odprawił mszę św.—po której przystępowaliśmy razem z matką do komunii św.; ja do pierwszej, dzień więc to pamiętny dla mnie, kiedy posilony pokarmem Ciała i Krwi Przenajświętszej, z rodzinnego gniazdka puszczałem się w dalekie i nieznane drogi życia. Po mszy odebraliśmy szczere a ciepłe błogosławieństwo na drogę przeznaczonego kapłana i naszego przyjaciela i pozostał nam tylko, najsmutniejszy w doczesném życiu człowieka, obrzęd pożegnania z miłymi sercu.

Ułożyłem starannie wszystkie pamiątki po dziadzi, a poczytywałem je jak starożytni swoje Penaty (a) i zdawało mi się, że przez nie zabieram ze sobą dawną naszą chatkę i drogę mogiły, i wszystko miłe, co się tak uroczym przewinęło około mojego dzieciństwa; wprawdzie broń, lubo z nią już obchodzić

(a) *Penaty* u starożytnych pogan były to bogi domowe, zwykle wyobrażone w posążkach lub przedmiotach, stanowiących drogą spuściznę po przodkach, a orędownicy i opiekunowie tych, którzy ich czcili. Jest wiele przykładów w historii starożytnej, iż przenoszący się z miejsca na miejsce, lub wybierający się na wojnę, zabierali ze sobą *Penaty*, z którymi rozłączenie poczytywano za złą wróżbę.

się i czyścić umiałem, oddałem na przechowanie staremu wiarusowi Wawrzyńcowi, bo do obcego domu zabierać jój nie wypadało.

Najboleśniejsze rozstanie było z Grzesiem, którego także zabierać nie mogliśmy; pocziwy O. Zacheusz miał się zająć jego przyszłością i wziąć go z sobą do klasztoru, gdzie jako już umiejący dobrze służyć do mszy, a roztropny i pracowity, mógłby być przydatnym. Grzes dla mnie był pierwszym rówieśnikiem, pierwszym towarzyszem młodości, z którym się zbliżyłem, opuścić go, a jak mi się wydawało, na zawsze, było ciężką, z niczém niezrównaną boleścią; lecz od dzieciństwa nauczony cierpieć i przenosić przeciwności losu, i tej nowój poddać się musiałem... A wiercie mi, iż sprawiedliwem jest to przysłowie—„wiele ten czyni, kto musi!“

Po nabożeństwie i śniadaniu u O. Zacheusza, opatrzeni jeszcze na drogę całą torbę zapasów przez kochanych przyjaciół, wsiedliśmy z matką na wózek jednokonny pocziwego Lejbki, który pod sterem jego syna wyrostka, Josia, był oną nawą mającą nas unieść w *świat nieznany!*

III.

Występ wojowniczy Burka.

Nie umiem opisać naszej podróży.

Z drogą mateczką rzuceni w świat dla nas dotąd tak obcy, tuliliśmy się do siebie, jak dwoje piskląt, z macierzyńskiego gniazda wyrzuconych. Droga odbyła się w milczeniu i rozmyślaniu, biedna mateczka to wdychała, to się modliła; ja zaś, widząc kuferek z pamiątkami dziadzi przy sobie, dotykałem go od czasu do czasu i robiło mi to złudzenie, jakbym miał wszystkich drogich przy sobie. Stary Burek, który także powłókł się za nami, był żywą pamiątką dni minionych. Tylko tęsknoty po Grzesiu nie mogłem oddalić z pamięci.

Przebywaliśmy wprawdzie okolicę piękną i bogatą; napotykalismy wspaniałe gmachy i pałace, na które o tyle zwracałem uwagę, aby przypomnieć i pożałować mojej chatki i wioski.

Lubo do przebycia nie mieliśmy takiej wielkiej przestrzeni, lecz koń Lejby, stary i zbiedzony, niekłusował i dopiero na trzeci dzień z południa nasz sternik Joś, świadomy drogi, ukazując nam wielki pałac na górze, oznajmił, iż przybijamy do portu i że to jest wieś N. marszałka K.

Moja matka poprosiła Josia, żeby stanął, a wyjąwszy ze skrzynki odświętną ubogą suknię, schroniła się pomiędzy drzewa przyległego lasu dla przebrania.

Ja tymczasem utkwilem wzrok przerażony w ów pałac, zdający się mi grozić olbrzymiemi rozmiarami i szukałem dokoła niego jakiejś małej, skromnej chatki, któraby o tyle o ile naszą wioskę przypominając, zaspokoila moje trwogi; lecz szukałem napróżno, gdyż wieś sama znajdowała się w przyległym wąwozie, a z tej strony pałac ją zasłaniał. Drzałem cały z przestachu, lecz i mateczka mię nie uspokajała, bo dostrzegłem w niej także pewnego pomieszanania.

O kilkanaście staj od pałacu wjechaliśmy na drogę bitą, wózek nasz zaczął huczeć i podskakiwać, co jeszcze bardziej zwiększyło moje złe wrażenie. Dalej przebywaliśmy szpaler z drzew wysokich, a były to topole strzyżone; te równie smutno na mnie podziały swoim ogromem i symetrią, a chciwie szukałem drzewka naszego swojskiego, co to sobie wyrasta, jak mu się podoba, pod opieką bożą, ludzką ręką nie męczone—ale napróżno, bo takich tam nie było.

Nakoniec Joś zatrzymał się przed jakimś ogromnym budynkiem, a były to dwie wysokie wieże, pośrodku nich brama ogromna w dziwne zygzaki i kowania. Z jednej wieży wyszedł starzec w długiej granatowej kapocie, z siwą do pasa brodą, ja ze zwyczaju, widząc starca, w rękę go pocałowałem—on się z początku zadziwił, potem spojrzał na mnie łaskawie i pogłaskał, a matki się spytał, po co przychodziła; ta gdy mu się sprawiła, stary rzekł łagodnie, kiwając głową:

— Jakże wy to, kobieto, na służbę do naszego dworu w takich sukniach; trzebaby się Jasnym państwu przystojniej pokazać, przebierzcie się w mojej izdebce, a ja tymczasem z chłopcem waszym pogadam.

Biedna mateczka zawstydzona, gdyż to jęć były odświętne szaty, odparła nieśmiało:

— Biedni jesteśmy, to jest co mam najlepszego.

— Ba, „na niema, rady niema“—prawił stary łaskawie—ano i tak może ujdzie, idźcie z Bogiem.

Poszliśmy przez nowy, jeszcze dłuższy szpaler z drzew strzyżonych, a piasek żwirowy tak nam szeleścił pod nogami, iż stąpałem nieśmiało. Nakoniec z pomiędzy drzew ukazał się nam pałac w całym przerażającym ogromie, otaczały go klomby różnobarwnych kwiatów, także strzyżonych i pod liną układanych—nie przeczę, iż to było piękne, ale dla mnie na pierwszy raz straszne.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Brody krzyżackie. ¹⁾

Jesteśmy w roku pańskim 1512, na zamku w Krakowie, w kościele św. Stanisława. Nabożeństwo już się skończyło, gromadka pobożnych opuściła świątynię, przecież nadzwyczajny jeszcze ruch w niej panuje. Liczna służba kościelna stroi dom Boży ku jutrzejszej koronacji pierwszej małżonki króla Zygmunta Starego, cnotliwej Barbary Zapolskiej. Jedni opinają kościół drogiemi makatami, drudzy wynoszą ze skarbcza złote i srebrne naczynia kościelne, i według zwyczaju zdobią nimi ołtarze, inni wreszcie odświeżają kosztowniejszą jeszcze ozdobę tego świętego miejsca, zawieszane u grobowca św. Stanisława vota pobożne, chorągwie nieprzyjacielskie w zwyciężkich bitwach zdobyte i mnogie inne przeróżnego kształtu pomniki bogobojnej wdzięczności dawnych pokoleń.

Tylko dwie obecne w świątyni osoby, jedna w bogatym węgierskim stroju, druga

w białym płaszczu krzyżackim, zachowują się bezczynnie, wśród ogólnego ruchu. Są to dworzanie przybyłych na weselną i koronacyjną uroczystość książąt sąsiednich, Naderspana, wojewody węgierskiego i Fryderyka, margrabi na Brandenburgu. Pragnąc jak najspieszniej obaczyć słynne wówczas na całą północ miejsce cudowne, zwrócili obaj pierwsze swe kroki po przybyciu do miasta ku świątyni i weszli niepostrzeżeni w jej progi. Osobliwie na Krzyżaku malowała się niecierpliwość ujrzenia przybytku, w którym tyle sztandarów krzyżackich z pod Grünwaldu ocieniało trumnę świętego patrona Polski, malowała się ciekawość przeświadczenia się naocznie o mnogich a groźnych dziwach, jakie w Niemczech słyszał o tym grobowcu. Podczas gdy Węgier pobożnie uwnijścia klęczał, Krzyżak nie umaczał ręki w kropielnicy, nie przeżegnał się nawet u wstępu, lecz z nader światową skwapliwością zdążał naprzód, szukając oczyma pomnika męczennickiego. Nakoniec stanął przed nim. Ale jeśli już sposób jego zbliżania się do tego miejsca słuszne wzbudzać mógł podziwienie, jeszcze dziwniejszym był jego pierwszy rzut oka na sam grobowiec. Było wzrok wyraźnego oburzenia i przestachu. Zmarszczył brwi, owinał się cieśniej w swój biały płaszcz o znanym czarnym krzyżu i chwycił się machinalnie za długą rudą brodę, owę brodę, która tak istotną cechę Krzyżaka stanowiła, że ich wszystkich zwano u nas pospolicie tylko „brodacami o czarnym krzyżu.“

Mniemałby może kto, iż ten wzrok gniewny wyrażał patryotyczną zniewagę na widok wiszących tu proporców grunwaldzkich i tannenberskich.—Bynajmniej. W tych czasach żaden Krzyżak nie czuł już upadku swego zakonu, nie marzył o wielkości i sławie. Jedynym celem jego życzeń, celem który w istocie za lat kilka zrzuceniem płaszcza zakonnego szczęśliwie miał osiągnąć—był kufel z piwem, kostki szulerskie i inne rozkosze życia. Wszakże i przy tych rozkoszach — i właśnie przy nich bardziej niż w jakimkolwiek innem położeniu — chodziło Krzyżakowi o całość swojej osoby, o całość swojej „skóry“ o swoje—brodę. A tu przed

¹⁾ Ze szkiców historycznych Szajnoch.

nim, przed jego żywemi oczyma, wisiały obok krzyżackich chorągwi pooddzierane Krzyżakom pod Grünwaldem, pooddzierane wielkiemu mistrzowi i pobitym komturom, pooddzierane ze skórą, czarne, rude i jasnowłose brody. Co dotąd za granicą tylko w niepewnej tradycji gminnej, tylko z kronikarskiej znał wieści, to ujrzał teraz przed sobą w niewątpliwj, namacalnj rzeczywistości. I ujrzał się nagle w stolicy narodu, który swoim nieprzyjaciołom brodę ze skórą odziera i w kościele jako pobożne zawiesza votum. Miłe odkrycie, zjechawszy na wesele! Nuż który z tych dzikoludów poczuje w sobie ducha podobnej pobożności! Potrzeba tylko zwykłej zwady weselnj, aby... Strach zdjął Krzyżaka. Odwrócił się ze zgrozą od okropnego widoku. Zimnym dreszczem drżący, wyszedł obok kłęzącego u drzwi Węgra z kościoła i dopiero na dworze, pod bożem niebem, wolniej odetchnął. Jak nasz Krzyżak w téj chwili, tak wielu Krzyżaków przed nim, zwłaszcza Prusaków, opuszczało co roku z oburzeniem katedrę na Wawelu. Domowe podanie o brodach w Krakowie ciągnęło ich za przybyciem tamże ciekawie do kościoła, a doznany w kościele widok, opisywany z przestachem rodzinie i przyjaciołom w domu, dodawał coraz więcej wiarogodności podaniu. Niebawem stało się ono świętym artykułem wiary „ludowej.“ A zakorzeniwszy się wśród ludu, przechowało się ono także w literaturze, w kronikach. Odtąd, który tylko kronikarz pruski opisywał bitwę pod Grünwaldem, każdy miał sobie za święty obowiązek przytoczyć szczegół, iż zabitym mistrzowi i komturom brody ze skórą odcięto i w Krakowie na zamku w ofierze zawieszono.

Wybiegłszy z kościoła, Krzyżak zapragnął koniecznie znaleźć jakąś duszę, przy której mógłby utulić swą niespokojność, ogrzać dreszcz przełknięcia. Zlitowanie niebios zesłało mu wkrótce rodaka i znajomego. Był to Jodok Ludwik Decyusz, sekretarz króla Zygmunta, jeden z owych osiadłych niegdyś w Polsce cudzoziemców, którzy doznane w nowej ojczyźnie łaski, szczerą miłością ku narodowi, a znalezione tu chleb nierządno przyniesionem ze sobą światłem

odwdzięczali. Decyusz, jak wiadomo, prócz kilku pism pomniejszych, zostawił rys historyczny pierwszej połowy rządów Zygmunta, szacowny zabytek dziejów panowania Jagiellończyków. Duszą i ciałem rozmiłowany w swoich przybranych spółziomkach, miał on zawsze słowo pochwały dla nich, słowo przygany i skarcenia zasłyszanych przypadkiem cudzoziemskich oszczerstw na ustach. Znał go nasz Krzyżak z tego względu i przeto nie śmiał wystąpić odrazu z wybuchem swego gniewu. Owszem, gdy się po pierwszym przywitaniu ciągnęła zawiązała rozmowa, poczał z krzyżacką, obłudnie, chwalić obyczaje narodu, bogactwo panów i mieszczan, gościnność wszystkich.

— Tylko jedno—dodał, spoglądając z ukosa na towarzysza—obraża tu oko przybyśa i szkodzi samym Polakom. Szkodzi, bo rozjątrza umysły cudzoziemców, zkaż dla Polski wielkie z czasem niebezpieczeństwo wyniknąć może.

— Nie rozumiem—odrzekł Decyusz—o czém to mówisz?

— A o brodach naszych w kościele.

— O jakich brodach?

— Toć o brodach wielkiego mistrza i komturów grünwaldzkich, co wiszą u grobowca św. Stanisława.

Decyusz poczał śmiać się z całego gardła. Krzyżak spojrział nań jadowitęm spojrzeniem i rzekł po chwili:—Nie myślę, abyś sztydził z krwi twoich ziomków.

Decyusz wciąż jeszcze śmiał się.

Krzyżak zdawał się być nieco zmieszanym tą wesołością i dodał:

— Może zechcesz wmówić we mnie, że to nie brody. I ja nie byłem pewnym tego przed półgodziną. Lecz teraz naocznie przekonałem się. Cóż to innego być może, jeśli nie brody?

— Co?—powtórzył Decyusz, ocierając sobie oczy, zaszłe łzami od śmiechu!—Co? To buńczuki tatarskie, buńczuki i zwyczajne u tatarskich hanów i murzów ozdoby rzędów końskich, złożone z włosia końskiego, a przyczepiane rumakom książąt tatarskich wzdłuż szyi od uzdy aż do siodła, co Polacy, po każdym zwycięztwie nad pogaństwem,

wraz ze zdobytymi chorągiewami, Bogu i św. Stanisławowi, patronowi królestwa w Krakowie i w Wilnie, w ofierze składać zwykli.

Krzyżak rzucił niedowierzającym wzrokiem na przyjaciela. Ten, wstrzymując się od nowego przystępu śmiechu, ciągnął dalej.— Mogę cię o tém zapewnić. Toć w moich własnych oczach niejedyn taki buńczuk, niejedną taką różnowłosą taśmę u św. Stanisława zawieszono. Nie ma jeszcze lat sześciu, jak ich co niemiara pod Kleckiem na Tatarzynie zdobyto. A teraz, jeżeli da Bóg sprawdzą się świeżo nadeszłe wieści o wałném nad Tatarami zwycięztwie pod Wiśniowcem, przybędzie tryumfalnych ozdób świątyniom. Więc nie frasuj się, miły bracie, i płochem, bo śmiesznem podejrzeniem nie krzywdź uczciwego narodu. Ale widzisz ówdzie tego dziewięćdziesięcioletniego staruszka? To pan Betman, żupnik krakowski, także niemieckiego rodu. Pójdź, on ci prawdę słów mych potwierdzi.

Opisane tu spotkanie się dworzanina margrabskiego z Decyuszem, jego pomyłkę na widok buńczuków i rządów tatarskich w kościele, wreszcie szczęśliwe wyjaśnienie mu całej rzeczy, opowiada sam Decyusz w swójem piśmie: „De Jagellonum familia“ w Pistorjusza zbiorze do historyi polskiej służącym, w tomie II str. 288.

Walerya Stacherska.

KOSZYK OWOÓW.

Z A G A D K A.

Zanim znów zima smutna i sroga

Do miłych zagród naszych zawita,

Stróż się w wianki, ty, działwo . . .

I owocami naciesz do syta.

Prawda, że dobra rzecz te owoce!

Już widzę roje rzeźkich twarzyczek,

Z których ta mruga, ta coś szczebioce,

Patrząc na ten mój pełny . . .

A tam w koszyczku widać jabłuszka,

Och, jakie śliczne, jakie rumiane!

A tu znów duża, złocista . . .

Jaś pieszczoch woła:—Ja ją dostanę!

Tuż obok, z cudną barwą siólkową,

Drobne śliweczki i duże . . .

Sledzi je oczko i to i owo,

Boć dary Boże, to istne dziwy!

Są tutaj także . . .

Takie przejrzyste, takie soczyste!

Milszj i zdrowszj nad nie ochłody

Po umęczeniu niema zaiste.

Żal mi, że gronko to takie małe;

Wtem słyszę zawsze głośną Marysię:

—To winne grono jest niedojrzałe!

—A znasz, Marysiu, bajkę o . . .

Pyta poza nią bystra Anielka

I drobne rączki wyciąga chciwie;

Ach, owoc jestto pokusa . . .

Więc ja się chętkom takim nie dziwię;

Lecz grzecznych dzieci nie brak pod słońkiem,

Wiedzą, co znaczy bratnie kochanie

I tak się małym podziela . . .

Że się każdemu ziarno dostanie.

Jaskółka.

Z a g a d k a.

Ile jajek może zjeść naczecz największy
w świecie żarłok?

Łamigłówa zgłoskowa. (J. W.)

Z 26 zgłosek: ce—ce—ce—da—dus—e—
fa—feld—i—i—il—in—jo—ko—kup—lu—
ma—man—ne—nez—szy—ta—u—wat—wi
za—ułożyć dziesięć wyrazów: 1) Czynność
wymagająca pieniędzy, 2) Port w Afryce,
3) Kapłan mahometanski, 4) Wykrzyknik,
5) Poemat łaciński, 6) Miasto w Niemczech,
7) Miasto pamiętne w dziejach polskich,
8) Port we Włoszech, 9) Rzeka w Azyi,
10) Potrawa. Pierwsze litery, odczytane od
dołu do góry, utworzą nazwisko znakomitego
naszego poety, ostatnie, od góry do dołu,
jeden z jego poematów.

Rozwiązania do N-ru 40.

Z a g a d k i:

Napisać w dwóch literach przysłówkę to.

Zadania konikowego:

Już dni kilka słotnych było
I słoneczko nie świeciło;
Choć świeciło, to ponuro,
Osłonięte czarną chmurą—
Aż tu dzisiaj, patrzcie dzieci,
Jak słoneczko ślicznie świeci!
Powróciło ciepłe lato,
Podziękujcież Bogu za to.

Łamigłówki liczbowej:

Malczewski.

Walc.
Cal.
Czesi.
Szal.
Wilk.
Ewa.
Lew.
Miecz.
Lis.
Cis.
Mak.
Elki.

Łamigłówki głoskowej:

Sak—Lak—Mak—Rak

Odpowiedzi od Redakcyi.

Anielci B. w Warszawie. Łamigłówka wybornie rozwiązana, a liścik starannie i także *bez żadnego błędu* napisany, wielką nam sprawił przyjemność, jak również i wiadomość, że *Wieczory* gorliwie są czytane.

Mañci B. w Ostrowie. Rozwiązanie łamigłówki zupełnie trafne. Prosimy o dokładniejsze doniesienie, czy żądany jest atlas całej ziemi, czy też jakaś karta geograficzna szczegółowa i czy to ma być wydanie polskie czy też francuskie lub niemieckie.

Karolci Gr. Dziękujemy najpierw serdecznie za liścik uprzejmy i taką ładną kaligrafią napisany. Wszystkie żądane objaśnienia podamy w następnym Nrze Pisma, ponieważ potrzebujemy parę dni czasu na zebranie najdokładniejszych wiadomości. Korespondencya z miłymi naszymi czytelnikami nigdy nie może się nam naprzykrzyć, zawsze też najszcześliwsi jesteśmy, jeśli nadarzy się sposobność w czemkolwiek im usłużyć, lub rady udzielić.

Maryni Kw. w Oporowie. Żądany Nr. *Wieczorów* wysłaliśmy natychmiast i odtąd wszystkie następne pod tymże adresem odsyłać będziemy. Za liścik starannie napisany dziękujemy i prosimy o drugi choć troszeczkę dłuższy.

Jadzi B. Komedijkę drukować zaczniemy zaraz po ukończeniu *Pamiętnika Jasia*. Autorka dramatu na Pensyi od dawna nie żyje, redaktorka jest jej córką. Redakcyja nasza zawsze jest dla miłych gości otwarta. Za uprzejme wyrazy serdecznie dziękujemy.

Dzieciom z okolic Kamieńca Podolskiego. Otrzymaliśmy 20 rs i za dar tak hojny w imieniu ubogich dziękujemy. Ponieważ komitet wsparcia dla Sandomierzan jest już zamknięty, prosimy o zawiadomienie, na jaki cel dobroczynne dzieci podolskie ofiarowaną sumę przeznaczą.

Treść.—Kilka obrazów z podróży po Egipcie, (z drzeworytami), przez A. Dzieduszycką, (ciąg dalszy).—Na letniem mieszkaniu, przez Wł. Nowickiego, (ciąg dalszy).—Rośliny pokojowe, (z fototypem), przez M. J. Z.—Pamiętniki Jasia przez Piotra Jakś Bykowskiego, (ciąg dalszy).—Rozmaitości, (brody krzyżackie), przez Waleryą Stacherską.—Koszyk owoców, (zagadka), przez Jaskółkę.—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—W dodatku dalszy ciąg Historii Biblijnej, przez Z. Zajączkowską.